Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Z wiosennych rozlewisk Polesia. Fot. J. Berbeka.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

Nr. 24 (679) 11 CZERWCA 1932 R.

O NIEOTRZYMANE NUMERY.

Prosimy uprzejmie o wczesne zawiadamianie nas o nieotrzymanych numerach pisma. Reklamacje będą uwzględniane tylko w ciągu 3 tygodni od daty wyjścia danego numeru. Niereklamowane numery mogą być odstąpione w cenie 1 zł. za numer, lub o ile są na wyczerpaniu — jedynie w cenie całego rocznika.



Z minionych polowań w Jabłonowie na Podolu.
Stoją od lewej pp.: hr. Mohl, Stefan hr. Badeni, wiceminister gen. dyw. Kazimierz Fabrycy, marszałek senatu Władysław Raczkiewicz, pos. Jan Choiński-Dzieduszycki, Maurycy hr. Potocki i Józef ks. Jabłonowski.

KILKA UWAG

(Z powodu art. p. M. K. Pawlikowskiego p. t. „O pięknej literaturze łowieckiej w Polsce").

Mam wielkie uznanie dla pióra p. Michała K. Pawlikowskiego, którego liczne, doskonale opracowane tematy z dziedziny zagadnień łowieckich spotykaliśmy dosyć często na łamach „Łowca Polskiego". W mojem „krytycznem" przekonaniu, a z punktu widzenia idei łowiectwa, zdobył sobie p. Pawlikowski temi artykułami miano budowniczego, oraz rycerza, walczącego o dobro spraw, w jakich występował z gruntownem przekonaniem, śmiało i zdecydowanie, a przedewszystkiem z miłością dla celu głównego.

To też, gdy ten sam Szanowny Autor podjął temat rozważań o pięknej literaturze łowieckiej w Polsce w artykule pod tym tytułem (Nr. Nr. 20 i 21 „Łowca Polskiego" z r. b.), mimowoli, przyznaję, przyszło mi na myśl, że najwidoczniej zapoznawałem p. Pawlikowskiego o tyle, iż nie łączyłem go z literaturą piękną, uważając za przygodnego autora doskonałych artykułów fachowych, z oddania i miłości ku łowiectwu płynących. Tem mniej nie miałem pojęcia, iż jest zawodowym krytykiem literackim.

Jakkolwiek już tem fatalnie zgrzeszyłem, bowiem odnośnik do tytułu pracy p. Pawlikowskiego pouczył mnie, że artykuł ten stanowi odczyt, wygłoszony podczas „środy literackiej" w Związku literatów w Wilnie, a sam Szanowny Autor nazywa ją w odezwie do słuchaczy „swoją" środą, przeto nie pozostaje mi nic innego, jak publicznie wyrazić ubolewanie z powodu mej nieświadomości i żal, że wskutek tego mogę być tutaj nieco jednostronnym, zabierając głos z powodu jednej tylko „pogawędki" literackiej p. Pawlikowskiego. Skłania mnie do tego zbyt indywidulna, a przeto „oryginalna" klasyfikacja, zastosowana przez Szanownego Autora do pisarzy łowieckich, co tem „delikatniejszy" stanowi temat, że obejmuje prawie wyłącznie pisarzy żyjących.

Niestety, stara to prawda biblijna, że „wielu jest powołanych, lecz mało wybranych", co zwłaszcza w literaturze ma bardzo szerokie zastosowanie i o czem między innemi p. Pawlikowski w swej pogawędce mówi, stwarzając klasyfikację piszących na grupy; lecz przyzna mi zapewne i to także, że wśród krytyków, z zamiłowania czy powołania urosłych, tak wielu grzeszy stronniczością, lub czysto „prywatnem" upodobaniem!

Nie chcę być źle zrozumiany przez nikogo, a tembardziej przez p. Pawlikowskiego, przeciw któremu osobiście wcale nie występuję, pragnę tylko dodać pewne sprostowanie do niejasnego zapewne dla wielu uporządkowania nazwisk pisarzy, wymienionych przez p. Pawlikowskiego, jako pisarzy łowieckich pierwszej klasy. Pragnę zarazem podnieść, że i do krytyków również możnaby zastosować pewną klasyfikację, nie odmawiając im bynajmniej dobrej woli. Wśród pionierów bowiem tego działu literackiego spotykamy ludzi ściśle rzeczowych, choć „twardych", ale bezstronnych, zaś innych, unoszących się jedynie sugestywnem odczuwaniem piękna, więc może przez to tych najbardziej „z Bożej łaski", dalej specjalistów od kilku nazwisk z szeregu piór, dla najrozmaitszych nieraz osobistych, względów poza nimi świata nie widzących i t. d.; jednych, odznaczających się wydobywaniem stopnia piękna z utworów przez ich porównanie, innych, przystawiających synapizmy satyry, lub ironji, upatrujących słabe strony, lub nawet śmiesznostki w dziełach.

Takiego zresztą autora, z tej ostatniej grupy, w stosunku do Weyssenhoffa sam p. Pawlikowski uważa, jako tego jedynego, jego zdaniem, malkontenta, którego mieć może każde nawet arcydzieło. Więc tu jesteśmy zgodni. Gdyż umieć dobrze władać piórem w rozprawach krytycznych nie jest synonimem z pojęciem bezstronnego krytyka z punktu widzenia dzieł sztuki, jako piękna, przez umiejętne uwypuklanie i ocenianie cech piękna, wielkości i innych zalet dzieła i przez porównanie z podobnemi cechami dzieł innych (gdyż wady dostrzega łatwiej i nie-zawodowy krytyk).

Nie pragnę bynajmniej p. Pawlikowskiego „klasyfikować", jako krytyka. — Ani mi w głowie jakąśkolwiek złośliwość, chcę jedynie zwrócić uwagę na to, że, doszedłszy w swej pracy do wyliczania porządkowego poetów i pisarzy prozą w łowieckiej literaturze, w klasie pierwszej, zbyt pobieżnie ten porządek ułożył, nie opracowując go na zasadzie skrzętnie przeżutej i przeczutej miary wielkości pisarskiej poszczególnych autorów. Sprobuję tego dowieść na zasadzie własnego rozumowania i zapomocą opinji krytycznej wielu znawców literatury.

Jeśli w literaturze łowieckiej chodzi przedewszystkiem o wyraziste oddanie obrazu malarskiego, przez zbieg przypadku stwarzanych okoliczności i o ujęcie zmysłowe całej symfonji barw i dźwięków, a równocześnie o upojenie czytelnika tym najbardziej zrozumiałym przez duszę myśliwego czarem poezji, kryjącej się na każdym kroku w przyrodzie, a ozdobionej tylko przez fantazję formy i słowa, wszelako świecącej najjaśniej wielkością uczucia do niej i zrozumieniem jej tętna życia, to wśród wymienionych przez p. Pawlikowskiego pisarzy pierwszej klasy należy się napoczesniejsze miejsce po tegorocznym jubilacie, Weyssenhoffie, zarówno Ejsmondowi, jak Korsakowi, jak Zaborowskiemu, i trudno niejednokrotnie powiedzieć, któremu bardziej.

Ejsmond jest wspaniały w ujęciu tego piękna w doskonałą formę poezji („Pochwała puszczy", „Do moich synków" i wiele innych), Korsak — powieści („Pieśń puszczy"), Zaborowski — „obrazów", przeżytych osobiście („W sercu kniei").

Nie będę ważył w porównaniach doboru farb i impresji uczuć każdego zosobna, wszelako twierdzę, iż są oni wszyscy w naszem współczesnem piśmiennictwie łowieckiem najbardziej wiernymi odtworzycielami poezji przyrody i wrażeń myśliwskich, wszyscy w niej jednako zakochani i miłość tę najczulej przedstawiający, a jedyną między nimi różnicą zasadniczą jest to, iż dwaj pierwsi, jak i ten, któremu p. Pawlikowski oddaje niepodzielną suwerenność, są pisarzami zawodowymi, zaś Zaborowski tylko wielkim poetą myśliwym, choć to bynajmniej nie idzie na jego niekorzyść pod względem literackim, wobec doskonałej formy jego „obrazów".

I dlatego, być może, największym błędem klasyfikacji p. Pawlikowskiego jest to, że dla Zaborowskiego i szeregu innych należało raczej stworzyć klasę pierwszą „a" pisarzy nie-zawodowych, a wówczas z pewnością Szanowny Autor nie zawahałby się postawić tego ostatniego na przodującem miejscu. I tu powołuję się na recenzje o pierwszem wydaniu „W sercu kniei" takich krytyków, jak Rabski, Grzymała-Siedlecki, Krzywoszewski, A. Niemojewski i K. Janikowski.

Ponieważ chodzi mi jedynie niejako o uzupełnienie podjętej przez p. Pawlikowskiego klasyfikacji przez podkreślenie tego zasadniczego z jego strony błędu, przeto oczywiście nie wdaję się w dalsze uporządkowanie naszych pisarzy łowieckich ani w klasie pierwszej, ani w pierwszej „a". I mniemam, iż, jako krytyk szanujący powagę bezstronności, powinien się p. Pawlikowski do tego niedopatrzenia przyznać, zwłaszcza, iż na początku zastrzega zbyt małe ramy pogawędki, aby temat wszechstronnie wyczerpać. W przeciwnym razie pozostałoby może dla niego to chyba tylko „usprawiedliwienie", że uporządkowanie swe podał nie według miary zalet, lecz... alfabetycznie, od Ejsmonda począwszy, a na Zaborowskim kończąc...

I jeszcze jedno, co niemile bardzo mąci estetyczną stronę pracy p. Pawlikawskiego: dlaczego użył w niej pewnych, zbyt chyba jaskrawych, dodatkowych określeń każdego prawie z pisarzy? Czy dla zbudzenia dysonansu pomiędzy sobą i słuchaczami, lub czytelnikami myśliwymi? Wszak w tak skądinąd poważnie potraktowanej pracy zbyteczne były soczyste epitety, jak „zmanierowany", „trudny do skontrolowania", „rokokowy", „sędziwy trubadur", „porządnie nestorowaty". I to znów chyba usprawiedliwić może jedynie mniemanie czytelnika, które się samo porównawczo nasuwa, iż sam Szanowny Autor obok bezsprzecznych zalet oryginalnej swej pracy posiada miejscami iście młodzieńcze nieopanowanie. Mimowoli bowiem uderza jakby niekonsekwencja, gdyż przypięcie jednych z zacytowanych, choć niczem nie uzasadnionych, epitetów dyskwalifikuje z przodujących stanowisk, użycie zaś innych — robi wrażenie lekkomyślnego rzucenia o kilka wyrazów zadużo.

Mam przekonanie, że w obu zarzutach jestem wyrazicielem poglądu większości czytelników-myśliwych.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO



FRAGMENTY.

(Ciąg dalszy).

Obaj jednak twierdzili uparcie, że jeżeli dropie zeszły z żerowisk, to znajdują się na sołuchach, a jeśli opuściły już sołuchy, to musiały przenieść się na błonia majątku Gorczakowej, własności dymisjonowanego rotmistrza konnej gwardji pana Wojnowa, dwór którego leżał o kilka wiorst na południe od futoru Łady.

Na moją uwagę, że jeszcze w tym roku nie uzyskałem od rotmistrza pozwolenie na polowanie, coroczne odnawianie którego było kaprysem właściciela, Jurkiewicz szczerze oburzył się, gdyż w jego mniemaniu, zawsze należy z początku zabić dropia, a już potem można „dla oczistki sowieści" (dla oczyszczenia sumienia) prosić o pozwolenie, — wszystkie zaś ceremonje są niepotrzebnym wymysłem nie mających niczego lepszego do roboty mieszkańców miast: „Nie warto na ten temat słów tracić" — zawyrokował i ostentacyjnie sprowadził rozmowę na futor Łady, gdzie, po śmierci p. Hnata, samowładnie teraz rządzi jego córka „Irina Ignatjewna" — krasiwaja, kak bies, no gordaja i niepristupnaja diewica; a swarliwaja maméńka chodit pered niej na czetwierinkach, kak uczónaja obiezjána". (Irena Ignacówna — piękna, jak czart, lecz dumna i niedostępna dziewica, a kłótliwa mamusia chodzi przed nią na czworakach, jak tresowana małpa). Używając takich porównań, Jurkiewicz widocznie był przekonany, że wyjątkowa piękność jest przywilejem czarta i że tylko tresowana małpa chodzi na czworakach.

Z rąbka słonecznego globu na wschodzie trysnęły strugi jasnożółtych promieni, a step, jak olbrzymia pierś powstającego ze snu mocarza, wstrząsnął się lekkim dreszczem i zafalował w roskosznem upojeniu, gdy zatrzymaliśmy się u skraju zielonych zagonów „ulki" (gatunek jarej pszenicy), jęczmienia i owsa. „Gońce" zsiedli z koni, my zaś, we trójkę, po krótkiej naradzie, rozjechaliśmy się, wypatrując spodziewanych ptaków.

Jechałem środkiem, Jurkiewicz oddalił się w prawą stronę, Marko zaś skierował się w lewo, ku granicom futoru Łady. Uważnie przeglądając miejscowość przez lornetkę, dotarłem prawie do przeciwległego krańca zasianych pól... — dropi na żerowiskach nie było. Zjechałem się z Jurkiewiczem, który znacznie stracił na humorze, zawróciliśmy i pokłusowaliśmy z powrotem, do majaczącej w oddali grupy naszych „gońców". Od tej grupy oderwał się na nasze spotkanie pojedynczy jeździec, który szybko zbliżył się i zakomunikował, że Marko wypatrzył dropie na sołuchach, wydaje ostatnie wskazówki „gońcom" i prosi, abyśmy pospieszyli. Zwiększyliśmy tempo biegu koni i za parę minut wspólnie z Markiem ułożyliśmy plan dalszego działania.

Na północ od futoru Łady step obniżał się i tworzył obszerną, pochyłą płaszczyznę, na której w odległości mniej więcej wiorsty od futoru i gościńca szarzały tu i ówdzie, wielkie plamy sołuchów, pozbawione wszelkiej roślinności, za wyjątkiem rzadkich kosmyków nikłej, burej trawy.

Na jednej z takich plam naliczyłem dziewiętnaście dropi. Strusie Europy poważnie przechadzały się, nie oddalając się zbytnio jeden od drugiego, lecz i nie zbliżając bezpośrednio, jakby zaznaczały, że chociaż nastały czasy pokojowe, pamięć o niedawnych potyczkach, walkach i zwycięstwach jeszcze nie zginęła. O kilkadziesiąt kroków od spokojnie raczących się słonemi kruszynami ziemi ptaków tkwił strażnik stadka. Zwrócony piersią do gościńca, wysoko unosząc głowę na wyciągniętej pionowo szyi, stał nieruchomo, jak wyciosana z kamienia statua, i tylko ledwie dostrzegalne przez szkła lornetki ruchy głowy świadczyły o jego czujnej baczności.

Charakterystycznem jest określenie stanu czujności dropia u miejscowych myśliwych-chłopów: „pidniaw mołotok" (podniósł młotek). Rzeczywiście, wzniesione na długich, wyprężonych szyjach głowy strażujących, lub zaniepokojonych ptaków wyglądają, jak młoty, osadzone na mocnych, równych trzonach. Obecnie, za wyjątkiem jednego wartownika, wszystkie ptaki czuły się w zupełnem bezpieczeństwie, widocznie ufając czujności widety i oswoiwszy się z ruchem na gościńcu.

Miejsce dla okolenia stadka było wymarzone. Cała sztuka polegała na tem, aby umiejętnie wykorzystać warunki terenu, oskrzydlić stadko jaknajszybciej, z jednej strony po krańcu pochyłości, a z drugiej po zboczu Lachowego jaru, niepostrzeżenie dla wartownika zamknąć na trakcie koło o średnicy prawie 2-ch

wiorst i po zamknięciu, jednocześnie ruszyć ku środkowi. Wyciągnęliśmy się w sznur. Prawe skrzydło poprowadził Marko, a lewe, poza futor Łady, — ja.

Z trzema konnymi przemknąłem się zboczem jaru, wyjechałem na trakt i, wypuszczając traktem „gończów" do połączenia się z Markiem, zatrzymałem konia tuż obok dworku. Stałem, przytrzymując niecierpliwie grzebiącego nogą „Cygana" i śledząc za ruchami podążających traktem jeźdźców. Stanął jeden, drugi przeszedł na krocz, a gdy trzeci oderwał się od niego, pomykając czarną plamką, odjąłem od oczu lornetkę z zamiarem włożenia jej do futerału i w przelotnem spojrzeniu ujrzałem stojącą w przejściu otwartej furtki postać niewieścią. „Krala Jarynka" — przemknęło mi przez myśl. Przywitałem ją, uchylając czapki, na co odpowiedziała milczącym pochyleniem głowy, przymknęła następnie furtkę, odwróciła się i odeszła na ganeczek. „Oho! prawda, że dziewczyna jak malowanie" — pomyślałem.

Wysoka, zgrabna, czarnobrewa dziewczyna, ze śliczną, tchnącą bujnem zdrowiem i urokiem cerą, jeszcze nie spaloną żarem południowego słońca, z przyćmionem spojrzeniem wydłużonych w kształcie migdałów oczu, z soczystemi wargami karminowych ust, z grubym, objętości ramienia, lśniącym kruczym warkoczem, przerzuconym przez ramię na piersi i jak wąż zwisającym do kolan, ubrana w codzienny strój zamożniejszych wieśniaczek — białą, wyszytą na rękawach, zawiązaną pod szyję czerwoną wstążeczką koszulkę i ciemną spódniczkę, od której odbijały złotawym połyskiem wysmukłe, jakby wytoczone nogi i niewielkie bose stopy, — wyglądała, jak z bajki, i niezależnie od subjektywnego wrażenia, jakie wywarła na mnie, mogła służyć za wzór piękna ukrainki, o której miłosna piosenka kozaka głosi, że:

„Jak z koralu jiji huby,
jak ti perly bili zuby,
jak z hebanu wołos czórnyj,
póchod' żwawyj i motórnyj"

(„Usta niczem koralowe,
piękne ząbki jej perłowe,
jak z hebanu jej warkocze,
ruchy zgrabne i urocze").

„Co za oprawa oczu? ciekaw jestem, jakiego są koloru?" — zastanowiłem się, zapominając na chwilę o dropiach.

Nie oglądając się, znikła Jaryna wewnątrz domu, a zarazem pierzchły moje o niej myśli: — daleki, chrapliwy głos Markowego rożka sygnalizował zamknięcie kotła. Odpowiedziałem niezwłocznie, trąbiąc na lufce, ruszyłem i, mijając północną granicę futoru, zawróciłem z traktu w step.

Jak było umówione, paręset kroków jechałem stępa, następnie przeszedłem w kłus, a gdy w coraz bardziej zaciskającej się obręczy pędzących co koń wyskoczy jeźdźców zobaczyłem podniesione „młotki" ptaków — ruszyłem w galop.

Znienacka zaskoczone dropie dostrzegły zbliżające się niebezpieczeństwo w ostatniej chwili, gdy konie „gończów" wzięły największy pęd i parły ze wszystkich stron na ogłupiałe ptaki. Zbiegło się stadko, następnie, biegnąc z rozpostartemi skrzydłami poderwało się, uniosło w powietrze na nieznaczną wysokość i przelatując tuż nad głowami konnych chłopaków, całą gromadą zawisło nad Jurkiewiczem. Dwa jego strzały obaliły dwie sztuki. Jeden tylko wartownik nie podążył za stadkiem.

Doświadczony, stary spryciarz zakreślił łuk nad głowami konnych chłopaków w moją stronę i nadlatywał ukośnie, kierując się na futor. Widziałem, że mnie ominie na niemożliwy dla strzału dystans, więc puściłem „Cygana" co pary w nozdrzach i zdążyłem w porę przeciąć linję lotu ptaka, rozpaczliwie bijącego skrzydłami powietrze w chęci raptownego skręcenia w bok i ominięcia pędzącego po ziemi smoka. Rzuciłem cugle; „Cygan" zarył się nogami w ziemię i ślizgając się po trawie, przesunął się jeszcze parę kroków.

Wygarnąłem z jednej lufy do dużej białej plamy pod skrzydłem. Jak żagiel łódki, uderzonej w bok potężną falą, zadrga, załopoce, przechyli się prawie do poziomu rozhukanego morza i wnet wyprostuje się, aby nieść dalej uszkodzoną łódkę po grzbietach bałwanów, tak, po strzale, trafiony ptak drgnął, zakołysał się w powietrzu, załopotał nagle osłabłemi skrzydłami, raptownie obniżył lot ku ziemi, a za chwilę wyrównał się i leciał dalej. Na dość już znacznej odległości poprawiłem z drugiej lufy. Zwinął się olbrzym, zakotłował i grzmotnął o ziemię całym ciężarem wspaniałego ciała.

Wynik tego wiosennego polowania na dropie był nadspodziewany, gdyż przy najbardziej sprzyjających okolicznościach, zwykle tylko jeden „szczęściarz" dochodzi (może słuszniej dojeżdża?!) do strzału. Zachwycony „udaczej" (powodzeniem) „król" Jurkiewicz błagał, aby jeszcze odwiedzić tereny p. Wojnowa, gdzie prawdopodobnie umiejscowiło się „nasze" stadko. Nie dałem się namówić, lecz, korzystając ze stosunkowo nieznacznej odległości (kilku wiorst) do dworu rotmistrza, zdecydowałem się odbyć konieczną pańszczyznę, odwiedzić starego wiarusa, a jednocześnie załatwić z nim sprawę pozwolenia na rok bieżący.

W przejeździe obok futoru zobaczyłem na podwórzu dawnego znajomka — Lejbę, przed gankiem zaprzężony wóz, siedzącą na wozie „widmę Ładychę" i stojącą obok wozu Ładównę.

Przysłaniając oczy dłonią, Ładowa patrzyła na gościniec. Machnąłem na jej powitanie czapką i tęgim kłusem ruszyłem błyszczącą, czarno-szarą taśmą ubitego gościńca, jeszcze nie rozmielonego kołami tysięcy wozów i nie pokrytego, jak latem, grubą warstwą kurzu. Zjechałem w głęboki parów i wydostałem się na szeroki rozłóg, rozpoczynający się dużym stawem, który grał w promieniach słońca tysiącami skier i blasków. Za groblą stawu, obsadzoną wierzbami, bielał dwór rotmistrza, tonąc w zieleni strzelistych włoskich topoli, szerokolistnych klonów i podstrzyżonych platanów. Zabawiłem u gościnnego gospodarza tylko tyle czasu, ile było potrzeba zużyć na spożycie śniadania, na zaspokojenie ciekawości rotmistrza, wypytującego o wielkomiejskie nowiny, na wysłuchanie kilku „nowych pikantnych" anegdotek, powtarzanych już niezliczoną ilość razy i na załatwienie sprawy, dla której przyjechałem.

(C. d. n.). STANISŁAW SKRZYŃSKI.

„SAFARI" W RZEPICHOWSZCZYŹNIE.

(Dokończenie).

Krótko popasamy w Rzepichowie, o drugiej wyjeżdżamy na drugie łowisko do Radzichowa w leśnictwie święcickiem, specjalnie do uroczyska Lipniki.

Jedziemy końmi po niemiłosiernych wybojach przez Lipsk do Załuża, przeprawiamy się przez Szczarę po balach ledwo skleconych, imitujących most, po których końmi przestano jeździć.

Tu na Szczarze granica województwa poleskiego i nowogródzkiego. Brzeg poleski w porządku należytym, przyczułek mostowy odbudowany, grobla usypana i zabezpieczona na wypadek powodzi — zato brzeg i dojazd nowogródzki — przedpotopowa, a właściwie potopowa sytuacja. Rozjeżdżone bagno, przez które płynie kilkoma korytami woda wezbranej Szczary, to grobla, na której konie dosłownie zapadają po brzuchy, żadnego przyczułka mostowego, a pomost tego pseudomostu pływa sobie na wodzie, jak Bóg dał. Ogromnie uproszczona konstrukcja genjalnego lokalnego sejmiku województwa nowogródzkiego, który się uparł i podobno powiedział, że jeżeli poleszuki chcą mostu na Szczarze, niech go budują, my Litwini nowogródcy żadnego interesu na Polesie nie mamy i grosza na budowę nie damy.

I w ten sposób trakt bardzo ważny, jedyna przeprawa stała przez Szczarę w obrębie kilkudziesięciu kilometrów — jeden wielki skandal, którego konserwacja kosztuje tyle, że za te pieniądze przy energicznem kierownictwie możnaby było w parę tygodni most i groblę konieczną postawić.

Od mostu tego 20 klm. przeszło na małym jednokonnym wózku poleskim w towarzystwie „mistrza Aleksego" odbyłem drogę do Radzichowa.

Droga jak strzelił poprzez bory i bagna była kiedyś wytknięta. Był to trakt, dzisiaj to jedna wartka rzeka, to znów pełno korzeni i wybojów piekło, to znowu bagno nafaszerowane pognilą dyliną, lub bagno bez dyliny, gdzie koń co chwila brzuchem wspiera swoje kończyny w czarnej, rozmokłej mazi torfiastej. Od Załuża stoją na straży nad Szczarą groźne niemieckie blokhausy betonowe, dobre do użytku na wypadek wojny i nawet są na wszelki wypadek konserwowane. Z drugiej strony Szczary liczne rozciągnięte na przestrzeni kilkunastu kilometrów, linje obronne rosyjskie w stanie zupełnego zniszczenia, liczne „dacze" i obozy stacjonujących tu kiedyś pułków rosyjskich, po których pozostały tylko doły i gdzieniegdzie po lesie rozpadająca się konstrukcja drewniana.

Przejeżdżamy kanał, — po nieprawdopodobnej topieli bagnistej, w której koń co chwila staje i oto uroczysko Lipniki.

Śliczny maleńki domek na wzgórku, wśród lasu przy drodze.

Wszystko przygotowane, tak, jakby jakimś telegrafem bez trudu już byli powiadomieni o wszystkim miejscowi gajowi i leśniczowie. A przecież projekt przyjazdu tu, powstał dopiero parę godzin temu, gdy zamiar udania się na jezioro Wygonowskie Szczarą i kanałami upadł z powodu wylewów.

Miałem wrażenie, że hr. Jarosław ma swój bardzo sekretny sposób przekazywania swych myśli swemu sztabowi „leśnych ludzi", względnie posiada bardzo sprężystą i dobrą organizację pracy w swych dobrach, gdyż do najbliższego telefonu odległość wynosi jakby nie było 20 klm.

Chwilę odpoczywamy. Zgłodniali, raczymy się zapasami śpiżarni rzepichowskiej, — różne przysmaki, no i zdaje mi się jedyna w Polsce szynka z łosia podnieca mój apetyt.

Sen morzy. Po tych wszystkich przeżyciach i tylu nieprzespanych nocach wartoby na chwilę zasnąć, ale Aleksy, który każdą chwilę poza tokowiskiem poświęcał Morfeuszowi, jest innego zdania „Para panoczku na zapady".

Więc ruszamy w puszczę. Toki niedaleko, głuszce mają zapadać o jakieś 2 klm.



Kwitnąca malina „moroszka" (Rubus Mamaemorus) w puszczy Rudnickiej pod Wilnem.
Fot. Wł. Korsak.

Fonomenalny jest gwar i szczebiot puszczy, w której, jak w zwierzyńcu, wszystko łowne w Polsce się chowa. — Wszystko: łoś, jeleń, rogacz, dzik, zając, bielak, niedźwiedź, wilk, ryś, tu i tam bobrowe żeremia, — no i ptactwo we wszelakich odmianach z głuszcem na czele.

Poszliśmy, zasiedliśmy na jakimś pniaku w gęstwinie i słuchamy. Sen morzy, oczy się kleją. Wtem oprzytomniałem: jeden po drugim, dookoła nas głuszec po głuszcu zapada z łoskotem, po chwili charakterystyczne krektanie: król puszczy oznajmia, że zadowolony z wyboru noclegu zapadł do rana. Słuchamy... po chwili, to tu — to tam rozebrzmiewa pieśń jedna po drugiej... Ściemnia się; bekas krąży w kółko i lamentuje;... nagle ozwie się fanfara żórawi, gdzieś na błocie; gdzieś zakwili jastrząb, kołując nad swoją ofiarą... Złote światło zachodzącego słońca jedną wielką smugą oświetla od zachodu sylwetkę. Wycofujemy się skacząc w ciemnościach, w takt, właściwy pieśni najbliższego grajka.

Już chata: ogromne ognisko płonie, oświetlając sklepienie koron sosen, poprzez które mrugają gwiazdy; kolacja już gotowa.

Aleksy postanowił, że na jutro rano będę miał postoły, które zaczyna robić jeden z gajowych. Jutro

rano o ironjo, to jutro rano to godz. 1-sza w nocy — za trzy godziny, gdyż koguty już o 2.15 zaczynają grać na toku.

O 12-ej byłem już na nogach. Wyszedłem przed chatę, ogień palił się wielkim płomieniem, cisza przerywana czasami pękaniem szczap smolnych w ogniu. Dokoła ogniska postaci śpiących „leśnych ludzi", rzucające cienie wyolbrzymione na pobliskie krzaki.

Położyłem się jeszcze, lecz za chwilę przyszedł Aleksy, by mi dopasować postoły do nogi. Prędko łyk ciepłego mleka i, jak duch bezszelestny, mknąłem w mych postołach — nie odczuwając zupełnie bólu nóg.

Ruszamy, gdyż oto dochodzi nas fragment pieśni głuszca — coraz wyraźniej. Jesteśmy coraz bliżej. Skaczemy. Głuszec gra pieśń po pieśni. Ciemno jeszcze zupełnie. Jesteśmy z Aleksym pod 3-ma sosnami, z których koron pieśń płynie. Wytężamy wzrok, a głuszca jak nie widać, tak nie widać; dobrze ukryty, grajek gra i gra. Stanęliśmy znowu. Na tle nieba od wschodu rysują się dokładnie sylwetki sosen. Wściekłość mnie ogarnia. Lustrujemy gałąź po gałęzi w koronach sosen. Jest: zdaje mi się, siedzi w koronie prawej sosny; lecz nie, to tylko gęstwina jedliny. Naraz Aleksy mnie trąca i pokazuje głuszca — siedzi. Wytężam wzrok i spostrzegam, że to domniemane coś rusza się i płynie znowu pieśń—składam się i z trzaskiem po strzale pada ptak na ziemię...

Odetchnęliśmy... Dziwny szmer pobudził nas do ruchu. W paru susach jesteśmy po sosną, na czas, by zobaczyć już tylko ogon głuszca, znikający w wysokich wrzosowiskach. Zaczęła się dzika pogoń za uciekającym wcale dobrze na piechotę ptakiem. Wkońcu głuszec wpadł w ręce Aleksego.

Zziajani przystanęliśmy... Opodal grał głuszec. Szybkim krokiem, — już było widno, — idziemy w kierunku pieśni. Zaczynamy podskakiwać, aż wkońcu na wysokiej samotnej sośnie, nasienniku, na bagienku w pełnej krasie wschodzącego słońca na zupełnie odkrytej suchej gałęzi ujrzałem głuszca.

Obraz cudowny, żałowałem, że nie miałem aparatu fotograficznego, głuszec grał pieśń po pieśni, widać go było dokładnie, jak się prężył, to znów kulił, to wachlarz ogona rozkładał, to znów składał i grał, korkując pieśń przed szlifem wspaniale.

Otaczał nas gęsty zagajnik, rosnący na bagnie. Bałem się choć na chwilę stracić ten piękny obraz i, ufny w dobroć mej dubeltówki, nieopatrznie zaryzykowałem strzał daleki na jakieś 85 kroków.

Głuszec zerwał się. Zniżając znacznie poziom lotu, widocznie „chory", siadł o kilkadziesiąt kroków obok, na nasienniku. Jak najostrożniej zaczęliśmy podchodzić, bez pieśni. Zobaczyłem, że siedzi w koronie, zasłonięty częściowo igliwiem. W obawie, by się nie zerwał, znowu mimo sprzeciwu Aleksego strzeliłem ze zbyt dużej odległości. — Głuszec jeszcze zniżając lot siadł na drzewie, na którem tokował, tym razem w grubych widłach pnia pod koroną. Siedział tak ukryty, że tylko łeb i szyja były widoczne. Podszedłem znowu parę kroków, dobrze mierząc z odległości 70 do 75 kroków strzeliłem, głuszec zerwał się znowu. Starałem się poprawić mój strzał w locie, jednak bez widocznego efektu. Głuszec splanował na bagnisko i spadł gdzieś w odległości jakichś 180 kroków. Popędziliśmy naprzełaj, lecz głuszca nie udało się nam podnieść. Na piechotę resztkami sił uszedł, by gdzieś w ukryciu skończyć swój żywot, a ja wściekły myślałem, że dubeltówkę rozwalę o moją upartą mózgownicę.

Tylko z mojej własnej winy i uporu — głuszca rannego straciłem, strzelając zadaleko — widać św. Hubert chciał mi dać naukę.

Idąc do chaty, rozpamiętywałem tę cudowną chwilę i wzruszenia, jakie przeżywałem. Aleksy, który burczał na mnie, wkońcu przyznał mi się, że choć zabił w życiu sporo głuszców podczas wojny, a potem asystował przy zabiciu przynajmniej 80 przez hr. Jarosława, to nigdy mu się nie zdarzyło widzieć, by głuszec był 3-krotnie strzelany i to po raz drugi na tem samem drzewie, na którem tokował.

Wróciliśmy do chaty, na śniadanie. Zdrzemnąłem się przy ogniu a pieśń głuszca grzmiała mi w głowie i, jak uporczywa halucynacja, nie opuszczała mnie przez noc całą.

JERZY ODROWĄŻ-PIENIĄŻEK.



OBSERWACJE Z ŻYCIA ZWIERZĄT.

Każdy, kto bada życie zwierząt, dojść musi do wniosku, że to, co zwykliśmy nazywać instynktem zwierząt, jest zadziwiająco zbliżonem do psychiki ludzkiej.

Wszelkie wady i zalety charakteru ludzkiego są zjawiskiem powszedniem w świecie zwierzęcym, czego przykłady, zaczerpnięte zarówno ze swoich, jak i obcych obserwacyj, poniżej przytaczam.

Jedną z wielu takich cech wspólnych jest nienawiść rasowa, tak głęboko zakorzeniona u ludzi i tak często spotykana u zwierząt.

Jako jaskrawy przykład może służyć nienawiść psa do jego krewniaka, australijskiego zdziczałego psa dingo. Nienawiść wzajemna tych dwóch ras jest tak daleko posunięta, że gdy przedstawiciele ich przypadkowo spotkają się, dochodzi pomiędzy niemi do tak zaciekłej walki, że jedne drugie rozszarpują na kawałki.

Analogiczną nienawiść rasową czują do siebie rozmaite gatunki zwierząt z rodziny kotów, jak np. lew i tygrys, jaguar i puma, lub gepard i leopard.

Brehm opisuje, że w swej menażerji miał wychowane przez siebie: geparda i leoparda, a chcąc się przekonać, jak zwierzęta te będą się zachowywały, gdy się znajdą razem, wpuścił je do jednej klatki. W tejże chwili zawrzała pomiędzy niemi taka walka, że z trudem dało się je rozdzielić, przy pomocy oblewania walczących wodą.

Podobną nienawiść stwierdzono u rozmaitych gatunków niedźwiedzi, o czem wspomina w swych notatkach myśliwskich prezydent Stanów Zjednoczonych A. P., Roosevelt, który, jak wiadomo, był zamiłowanym myśliwym i badaczem życia zwierząt.

Ta wzajemna nienawiść rasowa zauważyć się daje nietylko u zwierząt dzikich, drapieżnych, gdyż analogiczne wypadki zaobserwować można nawet wśród zwierząt domowych, roślinożernych. Za przykład tutaj posłużyć może bodajby osioł i koń. W krajach, gdzie hodowane są muły, które, jak wiadomo, są produktem krzyżowania osła z klaczą, dla przezwyciężenia wzajemnego wstrętu, jaki żywią do siebie oba te gatunki zwierząt, trzymają je razem już od najwcześniejszej młodości, gdyż tylko w tym wypadku hodowla mułów na szerszą skalę, jak np. w Hiszpanji i Południowej Ameryce, staje się możliwą.

Jeszcze ciekawszym przykładem mogą być dla nas zebry, żyjące na wolności, które, pomimo że jest ich parę odmian, nigdy nie krzyżują się między sobą, utrzymując w ten sposób czytość rasy. Podobnież rzecz się ma ze słoniem indyjskim i afrykańskim, które nie lubią się wzajemnie i dlatego w zwierzyńcach trzymane muszą być oddzielnie.

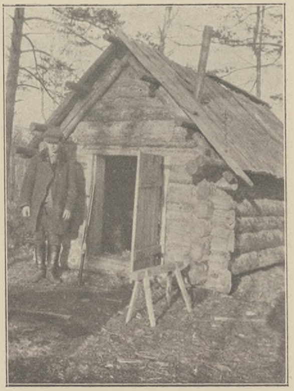
Próby, czynione z krzyżowaniem żubrów ze zwykłemi krowami dały też rezultaty ujemne, nawet w tych wypadkach, gdy od młodości były razem chowane. Nienawiść ta, o ile dotyczy żubrów, daje się zauważyć nawet w stosunku do tak bardzo spokrewnionego z żubrem bizona, czego wymownym dowodem jest wypadek, jaki przed paru laty zdarzył się w ogrodzie zoologicznym w Warszawie, gdzie żubr zabił bizonicę.

Wszystkim myśliwym znana jest nienawiść, jaką czują do siebie jelenie, sarny i daniele, podobnie rzecz się ma z koziorożcami i kozicami, a z temi ostatniemi w stosunku do owiec. Kozice nie znoszą odoru, wydzielanego przez nawóz owiec, zewsząd też, gdzie w górach pasą owce, kozice wynoszą się w inne strony i powracają w późnej jesieni, gdy pasienie owiec w górach ustaje i gdy nawóz owczy zwietrzeje. Szczegół ten przypomina wstręt, jaki ludzie rasy białej mają dla czarnej, ze względu na specyficzny odór, jaki wydziela ciało murzynów.

Na poparcie istnienia nienawiści rasowej wśród zwierząt przytoczyćby można jeszcze długi szereg przykładów, jak chociażby nienawiść szczura domowego do wędrownego, myszy domowej do leśnej, nie wyłączając nawet ryb i ptaków.

Dwie, zdaje się, istnieją przyczyny tej walki rasowej w świecie zwierzęcym: jedna z nich to walka o byt, a druga — to prawo natury, wyrażające się w dążeniu do zachowania ras w czystości krwi.

Stwierdzając istnienie nienawiści rasowej w świecie zwierzęcym, wypada zaznaczyć, że i uczucia miłości, zazdrości, wierności małżeńskiej i przywiązania rodzinnego, podobnie jak u ludzi, nie są obce zwierzętom.



„Budan" w Czapkielach.
Fot. A. Tellen-Wilczewski.

Najwyżej pod tym względem stoją bezsprzecznie rozmaite gatunki ptaków. W przeciwieństwie do cietrzewia, głuszca lub koguta domowego, których serca są bardzo obszerne, istnieje cały szereg rozmaitych gatunków ptaków, które mogą służyć za wzór wierności małżeńskiej.

W pierwszym rzędzie zaliczyć można do nich gołębie, kuropatwy, przepiórki, łabędzie, jaskółki, bociany i wiele innych, które tworzą najprzykładniejsze stadła małżeńskie, wychowując swe potomstwo wspólnemi siłami.

Wzorem pod tym względem być mogą papużki, zwane inseparablami, u których miłość i wzajemne przywiązanie sięga tak daleko, że gdy jedno z nich od pary padnie, to i drugie — ze smutku po utracie towarzysza lub towarzyszki życia — wkrótce zazwyczaj ginie. Podobnie zachowują się też i kaczki chińskie, zwane mandarynkami.

Niejaki Bonnet opisuje, że miał parę mandarynek, z której ukradziono mu samca. Pozostała samiczka

bolała do tego stopnia nad utratą małżonka, że nic jeść nie chciała i byłaby niewątpliwie padła, gdyby nie przypadkowe odnalezienie skradzionego samczyka. Radość obojga, jaką przy spotkaniu okazywały, była wprost wzruszająca. Nic też dziwnego, że w Chinach mandarynki uważane są za symbol miłości i wierności małżeńskiej i jako taki ofiarowywane bywają nowożeńcom.

Oczywiście, podobnie, jak u ludzi, nie brak i tutaj skandalów małżeńskich. Tak np. Perty opisuje wypadek zdrady małżeńskiej u jaskółek. W hali browaru zainstalowała się para jaskółek w roku 1871 i przypuszczalnie ta sama para powróciła do swego gniazda na wiosnę r. 1872. Pewnego dnia samczyk zjawił się z inną samiczką, którą prawowita małżonka starała się wypędzić, co jednakże jej się nie udało, gdyż samczyk stawał w obronie swej nowej oblubienicy.

Po paru dniach nowoskojarzona para zaczęła budować sobie w tejże hali nowe gniazdko, gdy dawna samiczka pozostawała samotna na starem gnieździe. Nie trwało to jednak długo, gdyż została w końcu wypędzona wspólnemi siłami swego dawnego małżonka i jego nowej połowicy. Że jednak w życiu ludzkiem nie zawsze skandale małżeńskie kończą się tak dramatycznie, że następuje czasami ciche porozumienie w tworzeniu się trójkątów małżeńskich, więc dlaczegóżby w świecie zwierzęcym miało być inaczej. Hr. Reichenbach opisuje zaobserwowany przez siebie wypadek zdrady małżeńskiej wśrów gołębi, które stanowią przysłowiowo wierne i przykładne stadła małżeńskie. Para gołębi miała w swem gnieździe młode, które z całą troskliwością wychowywała. Samczyk w poszukiwaniu pokarmu, który przynosił swemu potomstwu, odbywał codziennie loty po okolicy, kiedy zdarzyło się pewnego dnia, że spostrzegł siedzącą samotnie na dachu piękną, obcą samiczkę. Przyszła mu ochota poflirtowania trochę z nieznajomą, aby się jej więc przypodobać i czemś zaimponować, co podobno płeć piękna bardzo lubi, zaczął wyprawiać nad nią w powietrzu przedziwne koziołki, aż się wreszcie do niej przysiadł, by ją zbliska obejrzeć. Po szeregu rozmaitych ewolucyj, połączonych z gruchaniem, nastąpiło najwidoczniej wzajemne porozumienie, gdyż para frunęła, udając się najbezczelniej w świecie wprost do gołębnika. Zdradzona małżonka, spostrzegłszy co się święci, podfrunęła do samczyka i skarciła go rzetelnie dziobem, pozostawiając w spokoju uwiedzioną samiczkę. Samczyk wówczas wraz z nową samiczką odleciał i przez dłuższy czas nie wracał. Pozostała samiczka troskliwie pielęgnowała swe potomstwo, widoczne jednak było, że bolała bardzo nad zdradą swego małżonka, do którego musiała być bardzo przywiązana, gdyż siedziała osowiała, medytując nad swym losem. Po upływie pewnego czasu wypędzony przez nią samczyk powrócił, lecz znów w towarzystwie swej nowej małżonki. Tym razem zdradzona samiczka już go od gniazda nie odpędzała i to nie tylko samczyka, ale i swej konkurentki. W końcu wszystko tak się ułożyło, że obie samiczki wraz z samcem rezydowały w jednem gnieździe, wspólnie znosiły jajka i wychowywały swe potomstwo. Jest to niewątpliwie bardzo rzadki wypadek, jednak bardzo charakterystyczny.

Nie tylko jednak u ptaków zaobserwować można miłość i przywiązanie małżeńskie, lecz również i u zwierząt ssących, jakkolwiek są to już wypadki o wiele rzadsze. Zdaniem sławnego myśliwego, niejakiego Gerarda, lew otacza lwicę najczulszą opieką, podobnie jak i tygrys tygrysicę. To samo stwierdzone zostało u wielu gatunków małp. Naogół jednak powiedzieć można, że we wszystkich wypadkach, gdzie samica może wychowywać sama swe potomstwo bez względu na to, czy to dotyczy ptaków, czy zwierząt ssących, tam wierność małżeńska nie istnieje, ustępując miejsca poligamji.

(C. d. n.). STANISŁAW KAMOCKI.

Z TAJEMNIC WĘDRÓWEK NASZYCH PTAKÓW.

Szlaki wędrówek bocianów *(Ciconia ciconia L i Ciconia nigra L).*

Pod względem swojej biologji, jak też pod szeregiem innych względów jest bocian biały *(Ciconia ciconia L)* jednym z najciekawszych ptaków. Początkowo zapewne zamieszkujący pogranicza wielkich lasów i bagien, podobnie, jak nieporównanie rzadszy bliski jego krewny, bocian czarny *(Ciconia nigra L)*, z chwilą, gdy człowiek zaczął osiedlać się i budować pierwsze chaty we wczesnych okresach przedhistorycznych — wiedziony jakby jakim instynktem, upodobał sobie tę człowieczą kompanję tak, że o bocianie białym możemy śmiało powiedzieć, iż jest to ptak, żyjący conajmniej w symbiozie z człowiekiem. Spotykamy wprawdzie gniazda bocianie, sklecone w miejscach odludnych, ale należą one naogół do rzadkości. Być może zresztą, że i bociany, poza łatwością konstrukcji gniazd, w czem najczęściej człowiek przez założenie koła przychodzi im z pomocą, widzą w tem i inne korzyści, które kohabitacja z człowiekiem im przynosi. Znanem jest powszechnie, że bocian unika w sposób przebiegły bliższego zetknięcia z myśliwym, letnikiem, czy kimkolwiek o odmiennym stroju, niż tubylcy, tak, jakby dobrze wiedział o poważaniu i czci, jaką krajowcy zazwyczaj go otaczają. Dzięki tym wszystkim zdolnościom przystosowywania się, nie podzielił bocian losu swojego bliskiego krewniaka, który, unikając człowieka, musiał przed nim cofnąć się wgłąb niedostępnych puszcz i „mateczników" naszych kresów wschodnich.

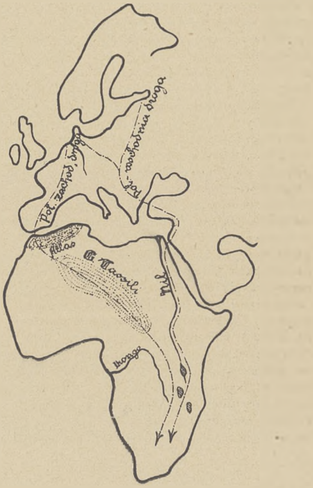
Poza temi, pokrótce naszkicowanemi właściwościami, znanemi zresztą zapewne Sz. Czytelnikom z literatury polskiej i zagranicznej, szczególnie ciekawe są właściwości bociana pod względem perjodyczności i szlaków jego wędrówek. Szczególnie pierwsza z właściwości wędrownych interesującego nas ptaka jest znana i obserwowana od tak dawna, że jej właśnie zawdzięczać winniśmy wszyscy uświadamianie

z dziecinnych lat sposobów rozwiązywania zagadki przyrostu ludności i wogóle spraw, z położnictwem pewien związek mających ...bocianami. O ileż szczęśliwsze jest młodsze, obecnie dorastające pokolenie, choć może bocian zdetronizowany pod względem swoich niektórych zajęć, wyjdzie gorzej ze strony wszelkich młodocianych adeptów naszego Patrona, bez respektu tępiących tego, niestety wskutek mało znanych nam przyczyn, coraz rzadszego ptaka.

Wędrówki coroczne bocianów należą do najlepiej poznanych. Z jednej strony wpływa tu łatwość zaobrączkowania tego dużego i łatwo dostępnego ptaka, z drugiej w wysokim stopniu zaakcentowane u bocianów przywiązanie do miejsca swojego urodzenia i pobytu, tak, że znane są bociany, przez długi szereg lat powracające do tego samego gniazda. Pierwsze próby obrączkowania, jakie uczynił w 1722 r. pewien pastor w okolicach Torunia, były właśnie dokonywane na bocianach, jako ptakach, najłatwiej obserwacji dostępnych z pośród ptaków wędrownych. Dokładniejsze dane uzyskaliśmy jednak dopiero z chwilą powstania pierwszych stacyj badania wędrówek ptaków, a przedewszystkiem stacyj niemieckich, duńskich i węgierskich, które od czasów znanego badacza przelotów ptaków, Thienemanna, zaobrączkowały tyle ptaków i poczyniły tak dużą ilość spostrzeżeń, że kwestja szlaków bocianich wędrówek może być uważana za wyjaśnioną w głównych zarysach.

Bocian biały, zamieszkujący większość krajów Europy i Azji za wyjątkiem wysokiej północy, przebywa zimową porą, jak wynika z doświadczeń obrączkowania, w południowej Afryce, w okolicach środkowo - afrykańskich jezior, Rodezji, Kalahari, Transwalu, Oranji i Kaplandzie. Jak wynika z tego, dwukrotnie w ciągu roku dokonywa on przelotu, dochodzącego do 9000 km. w linji powietrznej z północy na południe, czyli przelotu dwukrotnego niemal połowy południka ziemskiego. Olbrzymia ta odległość jest może jednym z lepszych przykładów tego przemożnego instynktu, jakim jest pęd do wędrówek wiosennych i jesiennych u ptaków, które mimo sprzyjających warunków, czyto jeszcze w ojczyźnie, czyto po drodze jakaś tajemna siła pcha na południe, a na wiosnę znów z powrotem na północ, chłodną częstokroć i mroźną jeszcze, ale do ojczyzny w której się lęgły, w której a nie gdzieindziej znów gniazdo swoje uwić muszą.

Zdawałoby się napozór, że ptaki zdążają najbliższą drogą by przebyć tysiące kilometrów oddzielające je od zimowej, dalekiej kwatery. Jak to już wspomniałem w artykuliku o wędrówkach słonek, tak nie jest u większości naszych ptaków wędrownych, które ciągną zasadniczo w kierunku południowo - zachodnim. Pewien wyjątek stanowią bociany o tyle, że, jak wynika z załączonej mapki, część ich zachowuje szlak zachodni, większość natomiast europejskich przedstawicieli tego gatunku wybiera znacznie dalszą, niemal okólną, drogę wschodnią. Pierwszy szlak, do którego przyłączają się, jak wynika z dotychczasowych danych obrączkowania, wszystkie bociany, gnieżdżące się na zachód od rzeki Wezery w Niemczech, biegnie poprzez Francję, Hiszpanję do Gibraltaru, punktu, wybieranego przez cały szereg gatunków ptaków wędrownych dla przelotu, przez wąską cieśninę, dzielącą w tym punkcie oba kontynenty. Dalszy przelot polega jedynie na szeregu spostrzeżeń avifenologicznych badaczy, bawiących w porach przelotu w Marokku i wnętrzu Sahary. Na ich podstawie przypuszczać należy, iż przeleciawszy okolicę Fezu, wybierają wzgórza Tassili i Ahaggar oraz płaskowzgórze Tibesti, posiadające oazy z wodą, nadające się do odpoczynków, by dostać się do łańcucha jezior środkowej Afryki w drodze do południowych połaci, stanowiących właściwą kwaterę zimową bociana.



Jeszcze ciekawszy i lepiej poznany jest szlak południowo - wschodni, gromadzący wszelkie ptaki rodu bocianiego, zamieszkujące latem okolice, leżące na wschód od rzeki Wezery. Jak wskazuje mapka, gromadzą się one z okolic Europy wschodniej i częściowo środkowej, by przez „porta ciconiarum", jak ktoś pięknie określił Węgry, znane z masowych przelotów bocianów, przelecieć Bałkany, następnie Azję Mniejszą, Kanał Suezki, skąd osiągnąwszy dolinę Nilu i łańcuch jezior środkowej Afryki spotkać się z bocianami zachodu Europy na południu Afryki. Powrót wiosenny odbywa się na tych samych szlakach, co jesienią, a co może jeszcze ciekawsze—bociany, w czasie przelotów obsiadujące minarety Fezu, zupełnie odrębnie trzymają się w odniesieniu do swoich kuzynów marokańskich, tak, iż nigdy nie zauważono, by bocian marokański odleciał do Europy lub naodwrót bocian europejski upodobał sobie towarzyszkę, dla której pozostałby w Afryce. Pewien wyjątek stanowią młode bociany, niezdolne jeszcze do rozpłodu, które zatrzy-

mują się i wałęsają przez pierwszy rok życia w Afryce lub krajach południowych.

Inną ciekawą właściwością bocianów jest fakt, że opisane powyżej szlaki ich wędrówek stanowią, jak się zdaje, zupełnie nowy nabytek ostatnich lat kilkudziesięciu. Notatki z przez pół wieku, robione w Italji, wspominają o licznym przelocie bocianów przez Włochy, tymczasem obecnie ciągnące bociany są w Italji rzadkością, jedynie ptaki, które zaobrączkowano i trzymano w zamknięciu przez chwilę odlotu głównego ich pobratymców, a dopiero następnie puszczano tam i zabijano. Przypuszczać należy, iż ciąg bocianów odbywał się początkowo w sposób wachlarzowaty, tak, jak to obserwujemy u szeregu ptaków, a częściowo u słonki i z czasem „wyrobił" się na wędrówkę szlakową.

Szlaki wędrówek bociana czarnego *(Ciconia nigra L.)* są ze względu na rzadkość tego ptaka znacznie mniej znane, jedyne spostrzeżenia poczynili Niemcy i Duńczycy. Żałować wypada, iż nasza Stacja Badania Wędrówek Ptaków, od roku istniejąca, nie zdołała w z. r. na naszych kresach, gdzie jest jeszcze spora ilość gniazd bocianów czarnych, choćby kilkunastu gniazd zaobrączkować, co rzuciłoby ciekawe światło na wedrówki tego gatunku. Z dotychczasowych obserwacyj wynika, że szlaki bociana czarnego odpowiadają w zarysie drogom bociana białego, z tą różnicą, że kierunek ciągu wachlarzowatego wprost na południe, jest może bardziej rozpowszechnionym w stosunku do ciągu szlakami. Definitywnie wyjaśnić mogą to tylko dalsze badania.

Kończąc przedłużający się nad miarę artykuł o wędrówkach bociana, pragnąłbym wspomnieć jeszcze o jednem zjawisku, towarzyszącem corocznie ciągowi tych ptaków, mianowicie o t. zw. „sejmach bocianich". Jak wiadomo, bociany gromadzą się z chwilą nastania pory ich odlotu, a więc u nas w drugiej połowie sierpnia w duże, do kilkuset lub więcej sztuk liczące stada, w miejscu, przez nich wybieranem zazwyczaj na jakiej odludnej łące, na której dokonywują ewolucyj trwających częstokroć dni parę, poczem pozostawiwszy nierzadko jednego lub więcej kompanów, niezdolnych do lotu, zrywają się do definitywnego ciągu na południe. Jaki jest cel i powód tych zgromadzeń, to nie jest do tej pory z punktu widzenia biologicznego dostatecznie wyjaśnione i pożądane byłoby zbadanie tego zjawiska w sposób dokładniejszy i bardziej systematyczny, niż to dotąd było czynionem. Być może jest to przejawem pewnych jakichś bliżej nam nieznanych instynktów, odgrywających rolę ważniejszą, niżby się się na pierwszy pozór zdawało. Jednym z ciekawszych przykładów *) jest „sejm", który odbywał się wbrew wszelkim bocianim obyczajom w lipcu r. 1915 **), na rynku miasteczka Biała Podlaska, w czasie wojny światowej, gdy o posiadanie tej miejscowości toczyły się w okolicy zażarte boje. Bociany, korzystające z opuszczenia przez mieszkańców miasteczka, odbywały przez zwykły okres czasu swoje sejmikowe ceremonje nie na łące, lecz w środku miasteczka i rzecz ciekawa, na przeszło miesiąc naprzód, poczem zebrały się do odlotu na południe i w roku tym w końcu lipca i z początkiem sierpnia nikt już w okolicy bocianów nie widział. Zbyt nadzwyczajnem i wyjątkowem jest to zdarzenie, by można było jakieś wnioski z niego wysnuwać, ale czyż przyroda nawet ta, na którą codzień patrzymy i którą coraz to nowszemi metodami dokładnie badamy nie kryje coraz to innych, trudnych do rozwiązania zagadek?

DR. KAZIMIERZ WODZICKI.

*) Czerpię to z opowiadania d-ra Emila Godlewskiego, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego.

**) Bociany odlatują z Polski w drugiej połowie sierpnia.

KILKA UWAG NA TEMAT ZAGADNIEŃ Z DZIEDZINY BRONI I PRAWIDŁOWEGO MYŚLISTWA.

Piękną jest myśl, by prawo łowieckie uczynić „kodeksem honorowym" dobrego myśliwego, że jednakże żadna ustawa nie będzie mogła objąć wszystkich, niekiedy bardzo subtelnych, prawideł, jakiemi kieruje się dobry myśliwy, przeto zadaniem naszem jest sprecyzowanie i ugruntowanie prawa zwyczajowego i rozpowszechnianie go wśród ogółu myśliwych. Chętnie korzystam z wezwania p. J. Podoskiego, ażeby wziąć udział w dyskusji, jaka rozwinąć się powinna na temat zagadnień, poruszonych w artykule tegoż autora w „Łowcu Polskim".

Nie ulega wątpliwości, że bardzo wielu myśliwych potępia automaty śrutowe i to poniekąd zupełnie słusznie. Kto z nich dobrze strzela, a jest myśliwym złym w krótkim czasie zdziesiątkuje najlepszy nawet zwierzostan i większe w nim poczyni szkody, niżby je wyrządziła klęska żywiołowa. Nie mniej szkodliwym będzie zły strzelec, który, ufny w dalekonośność swej „maszynówki" i zasobność jej magazynu, ostrzeliwuje i kaleczy zwierzynę na fantastyczne wprost odległości. Na polowaniach gremjalnych automat stwarza nieuczciwą konkurencję, a przecież szanse powinien mieć każdy myśliwy równe. Ażeby dobrze strzelać, wystarczy zupełnie mieć dwururkę; im mniej strzałów mamy do dyspozycji, tem mniej strzelamy lekkomyślnie. Słusznem też jest żądanie wielu myśliwych, by i zwierzynie dać możliwość wygranej, to też myśliwego, który tego nie uznaje wprost podświadomie i odruchowo, traktuję, jako człowieka o surowym sposobie myślenia i z umiłowaniem zwierza nie mającego nic wspólnego.

Nienawidzę słowa „loftki" i żadnej z dotychczas posiadanej broni użyciem loftek, że się tak wyrażę, nie sprofanowałem. Są one w mojem pojęciu równie wstrętnym ładunkiem, jak siekańce, używane przez niektóre indywidua. Powinny zginąć raz na zawsze

z magazynów broni i dyskwalifikować tych, którzy ich używają. Trudno byłoby wyrazić cyfrowo, w ilu wypadkach zwierz gruby, śrutem i loftkami strzelany, gnił w kryjówkach kniei, to też raz na zawsze powinno się stać zasadą, od której odstąpić nie wolno, że wszelką zwierzynę grubą i wilka również, wyłącznie kulą strzelać należy i to taką, by zwierz farbę rzucił i jak najprędzej ciężko schorzał i doszedł. Z tego założenia wychodząc, wydano w Prusach już przed dwoma laty zakaz strzelania grubego zwierza inną bronią, jak kulową. Bez porównania większą satysfakcję daje strzelanie cietrzewi na tokach kulą, jaką bowiem sztuką jest zasypanie ich garścią śrutu? Wybór odpowiedniej broni kulowej nie sprawia nam dzisiaj żadnych trudności. Świetnie nadaje się do tego celu nabój „Vierling" (w oznaczeniu niem 5.6 X 35, amer. W C. F. 22) z półpłaszczowym, tępym pociskiem, którego E. 25 wynosi w elaboracji dotychczasowej ca 35 kg., obecnie jedna ze znanych fabryk niemieckich wypuściła ten sam nabój z energją około 85 kg. Również Winchester autom. 22. z półpłaszczowym pociskiem spełni swe zadanie dobrze. Co do cal. 22 long rifle uważam, że złe wyniki, jakie ten i ów z myśliwych zanotował, tłumaczą się używaniem pocisków pełnych, przytoczę więc kilka przykładów z mojej praktyki łowieckiej, że można temu złu zaradzić przez przecinanie na krzyż ostrzem do golenia lub używanie pocisków dziurkowanych (ekspansywnych). Gdy, obrzydziwszy sobie strzelanie królików śrutem, zacząłem używać cal. 22, przekonałem się w krótkim czasie, że tylko sztuki, w krzyż lub głowę trafione, zostawały w ogniu, inne ginęły bezapelacyjnie. Dopiero pociski wyżej wspomniane przykuwały każdego królika do miejsca bez względu na to, gdzie kula siedziała. Z tym samym skutkiem strzelałem zające, kaczory i wrony a co więcej — trzy kozy domowe, co było jedynym skutecznym sposobem odstraszenia pastuchów przed wpędzaniem tych szkodników w las, który był ostoją grubej zwierzyny. Nie mniej dobrym byłby sztucerek 8,15 X 46 z ołowianym pociskiem; broń ta i tę wielką ma zaletę, że naboje samemu ładować można, a wtenczas nie więcej, jak 10 — 15 gr. kosztuje; nadto sztucery te odznaczają się wielką precyzją. Nie mogę też pominąć wzmianki o büksflincie, a specjalnie w tem świetnie dobranem zestawieniu 20/65 X 52. Na każdej z tych broni z wielkiem powodzeniem zmontowana być może luneta, niekoniecznie silna, wystarczającem jest 2 — 3-krotne powiększenie. W mojem pojęciu, luneta powinna wyłącznie i jedynie ułatwić strzał i zapewnić dobre ulokowanie kuli na odległość normalnego strzału gołem okiem pod żadnym zaś pozorem nie powinien być pretekstem do strzelania na dalekie mety.

Luneta z jednej strony zmniejsza w poważnym stopniu możliwość kaleczenia zwierzyny, z drugiej —umożliwia oddanie celnego strzału w złych warunkach świetlnych, przed wschodem i po zachodzie słońca. Posiadanie büksflinty z odpowiednio dobranym pociskiem rozwiązuje również kwestję strzelania tokującego głuszca kulą *) w dobrych warunkach światła, jak i w tych wypadkach, gdy nie zachodzi obawa zboczenia kuli wśród gałęzi. Używanie większych kalibrów przy broniach kulowych, jak tych, które wymieniłem, jest, nawet przy zastosowaniu odpowiednich pocisków, niecelowem ze względu na huk, jaki dają przy strzale.

Jak już wspomniałem, osiągnąłem cal. 22. bardzo dobre wyniki, co tłumaczę obok użycia odpowiedniej kuli przedewszystkiem tem, że z zasady staram się zwierzynę jak najbliżej podejść, a strzelając na bliską metę, strzelam pewniej. Pomimo tego, jestem zdecydowanym zwolennikiem zakazu używania cal. 22. dla celów myśliwskich z następujących przyczyn: W ręku kłusownika broń ta jest niesłychanie niebezpieczna dlatego, że nikły huk, jaki daje broń przy strzale w wielu wypadkach czyni sprawcę nieuchwytnym; nadto, czy jest broń którąby łatwiej pod kurtką ukryć można, jak taki np. automat F. N.? To też niemiecka prasa łowiecka notuje dziesiątki przestępstw na tem tle, jakkolwiek broń tę tylko na podstawie posiadania karty łowieckiej nabyć tam można. Nie ulega też najmniejszej wątpliwości, że w rękach nieodpowiedniego myśliwego będzie ona przyczyną wielu wypadków śmiertelnego kaleczenia zwierzyny, czemu tylko zaradzićby można odpowiednio ujętym przepisem prawa.

ZYGMUNT METZIG.

*) Strzelać głuszce kulą w nizinnych tokowiskach nie jest po myśliwsku. — *Przyp. red.*



Szczenięta settery ang. (Patrz ogł. str. 408).

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU STOW. ŁOWIECKICH.

ZNIŻKA CEN NA NABOJE MYŚLIWSKIE.

Na skutek zabiegów Wydziału Wykonawczego Polskiego Zw. Stow. Łowieckich, w wyniku pertraktacyj z Zakładami Amunicyjnemi „Pocisk" i „Warszawską Spółką Myśliwską" — podwyższone od kilku miesięcy ceny na naboje myśliwskie zostały z dniem 1 czerwca r. b. obniżone do wysokości dawnej tak w hurcie, jak i w detalu.

W ten sposób ostatnio obowiązujące ceny nabojów myśliwskich wyżej wspomnianych marek, zostały obniżone na terenie całej Polski o 15%.

LUSTRACJE TERENÓW ŁOWIECKICH.

Podajemy niniejszem do wiadomości Zarządów Stowarzyszeń Związkowych, które pragnęłyby zasięgnąć fachowej opinji co do gospodarki hodowlanej na terenach łowieckich, że w ciągu najbliższych dwu miesięcy dyrektor Instytutu Łowiectwa, p. inż. Stanisław

Kamocki, będzie objeżdżał tereny łowieckie Stowarzyszeń Związkowych, lub ich członków.

Dla udostępnienia fachowych lustracji terenów, Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich komunikuje, że koszty, z lustracjami takiemi związane, ograniczą się wyłącznie do zwrotu kosztów podróży i djet dziennych lustratora.

Bliższych informacyj udziela sekretarjat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, Warszawa, Nowy Świat 35, tel. 607-98.

Pożądane jest nadesłanie zgłoszeń do 20-go czerwca, aby dla lustracji tych można było ułożyć marszrutę, co wpłynęłoby na zmniejszenie kosztów (przejazdy).

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

OGÓLNOPOLSKA WYSTAWA I TARG PSÓW RASOWYCH.

Staraniem Komitetu Wystawy i Targów Wschodnich odbędzie się we Lwowie, w dniach 24, 25 i 26 czerwca r. b. ogólnopolska wystawa i targ psów rasowych.

Terenem targu i wystawy będzie plac Targów Wschodnich.

Wystawa obejmuje eksponaty żywe, a więc: psy myśliwskie, psy do stróżowania i ochrony, psy pokojowe, oraz eksponaty, dotyczące hodowli i tresury psów, wydawnictwa, statystyczne wykresy, rodzaje naczyń i karmy dla psów, wreszcie eksponaty z działu higjeny psa.

Otwarcie wystawy nastąpi dn. 24 czerwca r. b. w południe, termin zgłoszenia eksponatów mija z dn. 15 czerwca r. b. i po tym terminie zgłoszenia przyjmowane nie będą.

Blankiety zgłoszeniowe i bliższe informacje otrzymać można w Komitecie Wystawy i Targu, Lwów, Bielowskiego 5, lub wprost pod adresem: Ogólnopolska wystawa i targ psów rasowych, Targi Wschodnie, Lwów, a także u członka Zarządu Tow. Hod. Psów Myśliwskich w Warszawie, p. A. Brudnickiego, ul. Krucza 34, skład apteczny, tel. 8-51-14.

PAŃSTW. ŚREDNIA SZKOŁA HODOWLANO-ROLNICZA.

Państwowa Średnia Szkoła Hodowlano - Rolnicza w Grudziądzu, jedyna tego typu szkoła w Polsce, założona w r. 1925 początkowo w Dębowej Łące, została przeniesiona w r. 1930 do Grudziądza.

Szkoła ma na celu przysposobienie samodzielnych, teoretycznie i praktycznie przygotowanych i wykształconych techników hodowców-rolników.

Nauka w szkole obejmuje 3 kursy i trwa trzy lata. Dla praktycznego wyszkolenia uczniów szkoła posiada własne gospodarstwo rolne Wielkie Tarpno, gdzie uczniowie odbywają ćwiczenia praktyczne z hodowli i rolnictwa.

Na trzecim kursie prowadzone są wykłady z dziedziny łowiectwa.

Uczniowie, kończący szkołę, po odbyciu rocznej praktyki, złożeniu pracy dyplomowej i zdaniu egzaminu głównego — otrzymują świadectwo ukończenia szkoły z tytułem technika rolnego. Maturzyści szkoły hodowlano - rolniczej mają prawa wojskowe równoważne z maturzystami szkół średnich ogólno-kształcących. Dla niezamożnych uczniów istnieje bursa.

Egzaminy wstępne odbędą się przed wakacjami w dniach 22 i 23 czerwca r. b. Szczegółowych informacyj udziela dyrekcja szkoły w Grudziądzu, ulica Ventzkiego 13, tel. 409.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— W dniach 21 i 22 lutego odbyło się polowanie na wilki i dziki na Polesiu, w lasach państwowych leśnictwa wetelskiego. Przy udziale 8 myśliwych padło: 2 wilki, 2 dziki i 2 lisy. Słaby rezultat ubitych wilków przypisać należy nieodpowiedniej pogodzie— przez cały czas polowania bowiem, jak w dzień, tak i w nocy, zadymka śnieżna utrudniała tropienie wilków. Polowanie wzorowo prowadził p. Zdzisław Popkowski z Kaczorowy.

Jeden z ubitych wilków miał na szyi wnyk z drutu, jakiego Niemcy używali w czasie wojny do telefonów polowych.

— J. S. —

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą i 5-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Książki myśliwskie.

Następujące dzieła są do nabycia w redakcji z ustępstwem 15% dla prenumeratorów „Łowca P.":

„W polu i w lesie" Wł. Gürtlera — 1,00 zł. bez rabatu.

Głuszec, monografja B. Świętorzeckiego z rysunkami Włodzimierza Korsaka — Cena 2,00 zł.

Nasze skrzydlate drapieżniki: Gołębiarz, krogulec, sokół wędrowny. Monografja myśliwsko-przyrodnicza Władysława Gürtlera — 2,30 zł.

Wilk, monografja Bolesława Świętorzeckiego — 3,00.

Cietrzew, monografja Włodzimierza Korsaka. Praca odznaczona I nagrodą na konkursie literackim, z przedmową red. Juljana Ejsmonda — 2,50 zł.

Jak unikać wypadków z bronią? — Jana Sztolcmana. — 25 gr.

Podręcznik do zbierania i konserwowania zwierząt — d-ra Władysława Polińskiego
zesz. 1 — 1.40 zł.; zesz. 2 — 2.50 zł.; zesz. 3 — 1,20 zł.; zesz. 4 — 50 gr.; zesz. 5 — 1,00 zł.; zesz. 6 — 2,00 zł.; zesz. 7 — 2,00 zł.

Jana Sztolcmana: 1) „Żubr" — 3,30 zł. 2) **„Nad Nilem Niebieskim"** — 6,00 zł.

Ze strzelbą na ramieniu — A. hr. Rzewuskiego — 8 zł.

W stepach i puszczach — Władysława Czerniejewskiego — 1.00 zł.

Wł. Janty Połczyńskiego: 1) „Św. Eustachy"—3,00 zł. 2) „Polująca Pani"—3,50 zł. 3) „Estetyka Łowiectwa" — 2,00 zł.

Obrazki Łowieckie — E. br. Krasińskiego — 3 zł.

„O świcie" — Aleksandra Janty Połczyńskiego — 4 zł.

Kazimierza hr. Wodzickiego „Skowronek" — 3.60 zł. „Kruk" — 4.50 zł. „Słonka" — 4 zł.

J. W. Kobylański. **„O zwierzyńcu w Katowicach"** 3 zł., **„Jak powstał w Odrodzonej Polsce pierwszy zwierzyniec w Warszawie"** 3 zł., **„O zwierzyńcu w Malinowszczyźnie"** 1 zł., **„O dawnym i obecnym zwierzyńcu w Krakowie"** 1,50, **„O zwierzyńcu w Częstochowie, Grodnie, Katowicach, Krakowie i Lesznie"** 1 zł., **„Humor i łacina myśliwska"** 1,50.

Za zaliczeniem najmniejsza dopłata — 1.40 zł.

Za przesyłkę poleconą (przy wpłacie zgóry) — dolicza się 90 groszy.

ZAPOWIETRZANIE GRANIC ŁOWISK
patentowanym preparatem chemicznym
„KORNITOL"
zabezpiecza od strat, wyrządzanych przez zwierzynę w polu, kulturach i zagajnikach, zapobiega przechodzeniu zwierzyny na obce tereny
Blaszanka 10 kg. kosztuje Zł. 40.— wystarcza na 5 klm. granicy.
Biuro sprzedaży: W. Balcer, Warszawa, Kredytowa 16. Tel. 690-41.

OGŁOSZENIA DROBNE

Bażantarnik z długoletnią praktyką, kawaler, poszukuje posady w bażantarni lub strzelca, gajowego. Pochlebne świadectwa i rekomendacje. Sumienny i uczciwy. Łaskawe zawiadomienia o wakującej posadzie kierować należy: Józef Sturdyk, p. Ostrowy Warszawskie, wieś Lipiny.

Do odstąpienia kontrakt 6-letni na polowanie pod Warszawą. Trzy wsie obszaru przeszło 3.000 morgów. Dużo kuropatw, kaczki, zające, lisy. Tenuta roczna około 500 złotych. Wiadomość: Skulski, Warszawa, Sandomierska 5, telefon 849-12.

Jeleni kapitalnych odstrzał do oddania. — Zgłoszenia przyjmuje Zarząd Dóbr Stanisława hr. Potockiego, Komańcza, pow. Sanok.

Leśnik, kawaler, lat 27, poszukuje posady leśniczego lub pomocnika. Wymagania skromne. Praktyka hodowlana we wzorowych gospodarstwach leśnych państwowych i prywatnych, ukończona szkoła państwowa dla leśniczych. Dobre świadectwa i polecenia. Znajomość rybołóstwa i tartacznictwa. — Łaskawe zgłoszenia kierować proszę do Redakcji „Łowca Polskiego".

Sarnę jednoroczną, oswojoną tanio sprzedam. Müller Czesław, Huta Komorowska, p. Majdan koło Kolbuszowej.



Tow. Hodowli Psów Myśliwskich

ZAKŁAD
hodowli i tresury psów myśliwskich
ŻÓŁTA KARCZMA w SŁUŻEWIE
tel. 8. 55. 84

(dojazd tramwajem 12. 19 i 1, ewentualnie samochodem)
Konto P. K. O. 207-15

Pensjonat dla dorosłych psów, tresura, wychów szczeniąt, kopulacja, pośrednictwo przy sprzedaży

Obniżenie cen: kompletna tresura zł. 150, utrzymanie psa w pensjonacie miesięcznie zł. 40.

Informacje u kierownika Żółtej Karczmy p. Kowaluka lub u gospodarza zakładu p. A. Brodnickiego Krucza 34, skład apteczny telef. 851-14, do godz. 2 pop.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.